Nr. 17. Lwów, dnia 10. Czerwca 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr. kwartalnie **1** zł. **50** ct., miesięcz. **50** ct. Skład w księgarni Polskiej Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek. półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya „*Wieczorów zimowych*“ **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„*Wieczory zimowe*“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1 go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy)

XX.

Jasiek szedł z miną gęstą, znajomych, których spotykał, witał krótkiem, *Guten Abend!* i spojrzeniem wyzywającem, do dziewcząt uśmiechał się po dawnemu i co chwila wąsik sobie podkręcał.

Śmiałe kroki zaniosły go prosto do gościńca, gdzie zastał osób kilkanaście. Siadł między tymi, o których wiedziano, że za kołnierz nie wylewają i zaczął pić, najpierw wódkę, potem piwo. Szynkarz stawiał przed nim ciągle świeże kufle, a on wychylał jeden po drugim, kurzył fajkę i głośno rozprawiał, przyczem jak wiatrak rękami wymachiwał. Kilka razy odzywał się do młodszych głosem podniesionym, jakby koniecznie zaczepki szukał. Ten i ów skoczył nawet i kto wie, czy nie byłoby do bójki przyszło, Jasiek bowiem miał niezmierny dziś animusz i koniecznie chciał z procentem komu to oddać, co od ojca dostał, lecz starsi gospodarze, w czas się wmięszawszy, przeszkodzili awanturze.

Gdy słońce zaszło, izba prędko się wypróżniła. Za stołem został już jeden tylko Jasiek, wsparty na ręce, z nogami daleko naprzód wyciągniętemi, z brodą na piersiach. Twarz miał granatową, oczy zamglone, bezmyślne.

Drzwi otworzyły się z łoskotem i weszła Maryna. Wszystko w niej wskazywało, że była bardzo rozsierdzona. Syn oczy na nią wytrzeszczył, lecz ani z miejsca się nie ruszył, ani do niej nie przemówił.

Postąpiła ku niemu.

— Co ty poganinie narobił, co?! — krzyknęła. — Ja wracam do domu, a stary mi mówi, że ciebie wypędził, boś nie wart żyć! *O! Herr Gott!* jaką ty mi poganinie zgryzotę robisz. Gadaj du *Hundeseele*, gadaj coś ojcu zrobił?

— *Was?* — zapytał, na mówiącą błędny wzrok kierując.

— Gadaj mi zaraz, psiawiaro, za co cię ojciec wypędził?

— *Was? Dumheiten*, matko!

Chociaż pił dosyć, nie był jednak pozbawiony przytomności. To, co od matki usłyszał, przekonało go, że ojciec prawdę przed nią utaił. Nie potrzebował zatem ani przed matką się wykłamywać, ani wstydzić się szynkarza, który w drugiej izbie siedząc, przez drzwi do nich zaglądał.

Maryna nie przyzwyczajona do szanowania cudzych tajemnic, chciała z syna koniecznie wszystko wydobyć i w tym celu zaczęła go najpierw łajać, potem przeklinać, w końcu prosić. Gdy jednak jej usiłowania okazały się bezskuteczne, szarpiąc go za ramię, zawołała:

— Chodź poganinie do domu spać, bo wyglądasz jak nieboskie stworzenie! *O mein Gott! Mein Gott!*

— Nie pójdę.

— Nie pójdziesz? Chcesz może du *Hundeseele*, żebym ciebie ztąd kijem wyprosiła?

— Nie pójdę matko, bo ze starym już *aus*!

— *Aus*, powiadasz? Więc gadaj-że Jasiek, gadaj, coś zrobił!

Wstał, wyprostował się i ręce wyciągając, ziewnął na całą gębę.

— *Dumheiten*, matko, nie ma o czem gadać i tylko Do domu nie pójdę bo na starego nie chcę się więcej patrzeć. Poszukam sobie gdzieindziej noclegu, a jutro *marsch! marsch!*

Matka zaczęła teraz łagodniej przemawiać, prosić go, zaklinać, by z nią koniecznie poszedł i ojca przeprosił, lecz nic nie skutkowało. Syn stanowczo odpowiedział, że wolałby wpierw „skrepirować“ niż starego na oczy zobaczyć Biedna kobieta widząc, że musi ustąpić, poprosiła szynkarza, żeby Jaśka u siebie przenocował, za co przyrzekła mu osobno zapłacić i na odchodnem powiedziała synowi, że nazajutrz świtaniem przyjdzie do niego.

Jasiek chrapał jeszcze, leżąc nierozebrany na sienniku w rogu izby, gdy Maryna weszła cichuteńko. Zmieniona była do niepoznania. Pobladła, dokoła oczu czarne miała obwódki od niewyspania i długiego płaczu.

Usiadła na stołku i na syna patrząc, znowu płakać zaczęła.

Zbudził się, siadł na sienniku i matkę ujrzawszy, zawołał:

— *Gut morgen, Mutter!*

Nic nie odrzekła, tylko przez łzy nań poglądając, żałośnie głową potrząsała. Musiał się czegoś domyśleć, bo niespokojnie obejrzał się po za siebie i dopiero gdy się upewnił, że nikt nie słucha, skrzywił twarz, co niby było uśmiechem i ciszej zapytał:

— *Was... schlecht?*

— Oj! źle synu, źle!..

Oboje umilkli. Potem on jako odważniejszy, nałożył fajkę tytoniem i gdy ją zapalił, tak przemówił:

— Kiedy *schlecht*, matko, to chyba nie będziecie mnie już więcej w domu zatrzymywali.

— Oj! nie będę, Jaśku nie! Idź, idź i proś Boga, żeby na ciebie zesłał poznanie ta i opamiętanie.

— Dobrze, pójdę, ale gdzie pieniądze? Człowiek nawet z własnego nie może wziąć..

— Byłam wczoraj w Komarowie, chciałam pożyczyć, nie dali.

— Kiedy tak, to *schlecht*. Ale wiecie co, matko, mnie się zdaje, że jeźli kto pożyczy, to stary Silber pewnie. Niedawno mówił mi, żebym przyszedł prosto do niego, jak będę czego potrzebował. To też zaraz tam pójdę.

— A wrócisz Jaśku?

— A po co?

— Po co, po co. Oj, Jaśku! Jaśku! na toż tom ja ciebie pod mojem sercem nosiła?!

Tu głośne łkanie słowa jej zalało. Po chwili zapytała:

— Ale powiedz mi, chłopcze, gdzieś ty podział swoje rzeczy! W domu nic nie ma.

— E! to jeszcze wczoraj w południe, jakeście poszli ze starym do kościoła, odesłałem wszystko do miasta przez jednego kamrata, który tam jechał.

— I na cóżeś to wczoraj robił, na co?

— Na co, na co — odrzekł i uciął.

— Oj! Jaśku! Jaśku! już i ja widzę, że z ciebie grzesznik straszliwy. Tyś wszystko przygotowywał, boś myślał, że ci się uda... *O! Mein Gott! Mein Gott!*

— *Dumheiten*! — zawołał tonem podrażnionym. — Jak nie umiecie matko nic mądrego powiedzieć, to lepiej trzymajcie język za zębami.

Zrozumiała nareszcie i ona, że najlepiej zrobi, jeżeli zastosuje się do jego rady, więc też mało odtąd mówiła, tylko fartuchem często oczy obcierając, ciężko wzdychała. Stanęło na tem, że Jasiek pójdzie zaraz do miasta, a ona wybierze się tam dopiero wieczorem, by się dowiedzieć, czy Silber dał pieniądze.

Ten, do którego młody Żołędziak szedł w ciężkiej potrzebie, nie przeczuwając, kto i po co w tym dniu go odwidzi, siedział w swoim pokoju, obok biurka jesionowego, zarzuconego najrozmaitszą korespondencją w językach niemieckim, polskim i hebrejskim, i z kobietą, co przed nim stała, żywo rozmawiał. Dyskurs toczył się po niemiecku.

— Moja kochana, czy ty myślisz, że twój ojciec nie wie, co mówi? Ty jeszcze na świecie nie była, a on już wiedział jak się powinno robić interesa. Zresztą, Emilciu, co to tobie szkodzi, czy to taki wielki kłopot?

— Mnie to wszystko jedno, tatku, bo przecie dobrze mówię po polsku, ale mój mąż jest temu przeciwny.

— Kiedy tak, Emilciu, to powiedz mu, że on jest głupi.

— Wolałabym, żeby to tatko uczynił.

— Ja? ciekawym na co ja mam między was się mięszać... W małżeństwie co innego, tam jedno drugiemu łatwiej może coś powiedzieć... Ale jak ja nie mam mówić, że jest głupi, kiedy on ani przypuszcza, ile przez to traci. Moja kochana, lat temu czterdzieści, twój ojciec był jeszcze bardzo biedny żydek, cały mój majątek wynosił wtedy ledwie dwieście talarów, ale że miałem rozum, więc dałem sobie radę. Wiesz co, na świecie nie ma ludzi bardziej miękkich i łatwowiernych niż polscy szlachcice, więc jeźli kogo, to ich można najłatwiej doić. Przed laty czterdziestu było ich tu jeszcze pełno, wszystkie większe majątki tylko do nich należały i jam też z nimi ciągle handlował. Z początku traktowali mię z góry, ale jak zobaczyli, że Silber jest człowiek spokojny, że kocha polaków

i chce by oni nad całym światem panowali, tak zaczęli mnie nazywać swoim przyjacielem i nawet mnie przyjęli za członka do Towarzystwa gospodarskiego. Słyszysz Emilciu, twój ojciec zasiadał z samymi szlachcicami. Raz po walnem zgromadzeniu Towarzystwa odbywał się objad, na którym i ja byłem. Siedziałem wtedy Emilciu tuż koło hr. Tytusa Działyńskiego. Przy objedzie pili rozmaite zdrowia i gadali, gadali a kochali się aż w sali gorąco się zrobiło. Przy końcu ktoś mnie trącił i szepnął do ucha: „Panie Silber, powiedz i pan co!“ Wstaję tedy, zaczynam mówić, ale język tak mi się jakoś splątał, żem nie wiedział, na czem to się skończy. Nagle jednak przyszła mi myśl szczęśliwa. Kiedy było już najgorzej, podnoszę kieliszek i wołam: Niech żyje szlachta polska! Emilciu, trzeba było widzieć, co się wtedy działo. Jak mnie zaczęli ściskać, tom się aż bał, żeby mnie nie udusili Od tego czasu, moje dziecko, jam z nimi najlepsze robił interesa.

— Szkoda, że ich już tu nie ma — córka zauważyła.

— Pewnie że szkoda, chociaż wiesz co, ile mogli dać, z pewnością dali. Potem sami już nic nie mieli. A my dzięki Bogu wszyscy mamy dosyć, twój brat Hersch; jeździ nawet konno, trzyma sobie wielkiego psa i jest już z niego cały szlachcic. Pomyśl jednak Emilciu, że prócz szlachciców, mamy tu jeszcze dużo polskich chłopów, mieszczan trochę, no i urzędnik, albo lekarz także się czasem polak znajdzie. Jeśli więc w sklepie będziesz z nimi po polsku rozmawiała, to możesz być pewna, że wszyscy oni tylko u ciebie będą kupowali. A jak już zbierzesz duży majątek Emilciu, to wtedy pojedziesz do Berlina i tam będziesz ciągle po niemiecku mówiła.

— Mój mąż marzy o Londynie.

— Niech więc jedzie do Londynu i mówi po angielsku. Czy tak, czy owak, na jedno wyniesie, byle pieniądze były w kieszeni. Pamiętaj Emilciu, pamiętaj, com ci dziś powiedział, bo mnie serce boli, jak od ludzi słyszę, że ty sama szkodzisz swojemu interesowi.

— Mówiłam już, że to nie ja winna, tylko mój mąż. Ale skoro tatko tak jasno mi to wytłumaczył, więc teraz będę starała się nakłonić Alfreda żeby mi pozwolił w sklepie postępować, jak sobie tatko życzy.

— Dobrze, Emilciu dobrze. Przecie ja chcę tylko twego dobra, żebyś była bogatą.

Na tem, dnia tego skończyła się rozmowa ojca z córką.

XXI.

Silber przeczytał kilka listów, na dwa odpisał, potem wsparł głowę na ręku i zaczął się skrobać. Niezmiernie lubił to zajęcie, ono bowiem było u niego miłem wspomnieniem owych lat dawno ubiegłych, kiedy nie potrzebował jeszcze wstydzić się ludzi i być etykietalnym. Zresztą wiedział z doświadczenia, że gdy to czynił, najlepiej wtedy myślał.

A Silber miał o czem myśleć.

Los wszystkich jego dzieci był zabezpieczony. Synowie prowadzili już interesa na własną rękę i do tego na wielką skalę; córki były już powydawane, ale kto go jeszcze niepokoił, to bratanica, sierota i biedna, którą on się opiekował.

Dzieckiem czternastoletniem wydał ją za mąż, lecz nie dobrze trafił. Izaka zachwalano mu jako młodzieńca bardzo uczonego, który miał tyle umieć, co pierwszy rabin we Wrocławiu; być zresztą może, że pod tym względem nie zawiódł on nadziei, przywiązanych do jego osoby, ale dla praktycznego umysłu Silbera sama uczoność nie wystarczała. On w mężu swojej bratanicy, chciał widzieć przedewszystkiem obrotnego spekulanta, któryby umiał robić majątek. Izak takim nie był. Między żydami stanowił ten człowiek wyjątek. Do handlu jakoś się nie brał, do interesów pieniężnych nie miał zamiłowania. Na jeden zawód tylko spoglądał z zamiłowaniem, a tym było gospodarstwo rolne. Napróżno Silber tłumaczył mu od rana do wieczora, że gospodarstwo jest najbardziej mozolnym a najmniej zyskownym interesem, bo gdy handel daje dwadzieścia i trzydzieści, spekulacje nawet kilkaset procentu, to gospodarstwo w takim tylko razie może przynieść dziesięć od sta, jeżeli opiera się o wielki przemysł rolniczy, wymagający osobnego kapitału; napróżno w młody jego umysł starał się wpoić inne przekonania. Izak, ku wielkiemu zdumieniu tak Silbera jak całego jego otoczenia, nie zmienił zdania. Gdyby Izak miał był większy majątek, to bardzo łatwo byłby zaspokoił swoje pragnienie, o kilka mil bowiem był wcale piękny majątek na sprzedaż. Lecz o kupnie wioski on nie mógł marzyć. Cała jego fortuna, wraz z posagiem żony, wynosiła ledwie pięć tysięcy talarów. Słusznie przeto Silber mówił, że Izak miał za mało by mógł z tego żyć, a za wiele by potrzebował lękać się śmierci głodowej.

Gdy w młodem małżeństwie rok rocznie zaczęli prorocy przybywać, stary Silber bardziej się zaniepokoił. Bądź co bądź Rachela była jego krewną, jedyną córką rodzonego brata, z którym łączyły go niegdyś nie tylko węzły krwi, lecz i różne interesa. Zresztą wchodziła tu także w grę rasowa solidarność, będąca jedną z głównych dźwigni i warowni plemienia żydowskiego. Tak więc wszystko nakazywało mu zająć się gorliwie jej losem. Najłatwiej byłby to uskutecznił, gdyby bratanicy dał był kilkadziesiąt tysięcy talarów. Lecz Silber nie uczyniłby tego z dwojakiego powodu. Najpierw bardziej niż węzły krwi i solidarność kochał pieniądze, powtóre ktoby mu zaręczył, że

Izak nie straci majątku. Wszak żyd nie lubiący ani handlu, ani spekulacji, jest zdolnym do wszystkiego...

Zaczął więc myśleć, rozważać, kombinować, na końcu taki sobie plan ułożył:

Gdyby Izak miał niewielkie gospodarstwo, ale w okolicy bogatej i handlował, to kto wie, czy powoli nie nabrałby zamiłowania do więcej szlachetnego zajęcia niż uprawa roli. Nie zaszkodziło by także, gdyby z gospodarstwem był połączony choć jaki taki przemysł, np. mała cegielnia, piec wapienny, wiatrak lub kamieniołom. Izak sam się tem zajmując, nabrałby powoli zamiłowania do większych interesów i w ten sposób zostałby z czasem porządnym człowiekiem.

Mając takiemi myślami głowę zaprzątniętą, Silber jeździł po wioskach okolicznych i jeszcze ciekawiej, niż dawniej, badał stosunki chłopów, młynarzy, rzemieślników, słowem wszystkich. Raz usłyszał od kogoś z Trzcińca, że syn Żołędziaka przyszedł z wojska, że Stary Wojciech ma z nim wielką zgryzotę i że teraz w domu jego codzień od rana do ciemnej nocy słychać tylko kłótnię i obrazę boską.

Silberowi w pierwszej chwili oczy zaświeciły się jak ślepie u kota i z wielkiej radości aż językiem cmoknął. Bojąc się jednak, by ten, od kogo te wiadomości otrzymał, nie domyślił się czego, prędko wrażenie opanował i zaczął o czem innem mówić. Ale mimo to nie zapomniał on o tej rzeczy. Że zaś znał Żołędziaka i jego sąsiadów, więc też do tygodnia miał wszystko jak na dłoni. Najbardziej to mu otuchy dodawało, że stary Wojciech był zniechęcony. Kto wie zatem, czy nie uda się z nim zrobić interesu.

A nie zły by on był, nie zły! Wprawdzie ziemi Żołędziak nie miał wiele, za to budynki stały na niej porządne, przytem dochód z jeziora był dość znaczny. Żołędziak tanio trzymał jezioro, a chociaż rybołostwu, z powodu, iż z wiekiem ociężał, nie bardzo gorliwie się oddawał, mimo to tyle do miasta ryb przywoził, że dochód z nich nie tylko musiał wystarczać na opędzenie wszystkich jego wydatków i zapłacenie czynszu dzierżawnego, lecz niewątpliwie coś z niego jeszcze i do skrzyni odkładał. Gdyby więc to wszystko Izak posiadł, z czasem mógłby się z tego zrobić wcale dobry interes. Zamieszkawszy raz we wsi, dokupywał by potem rok rocznie nowe grunta, a na jeziorze zastępowali by go chłopacy, którychby miał u siebie w służbie. On by ryb nie łapał, tylko niemi by handlował. Zasiedziawszy się raz w Trzcińcu, nabrałby zamiłowania do innych także interesów, bo gdzie by tam kiedy chłopi dali żydowi siedzieć z założonemi rękami, i tak powoli, nieznacznie, stałby się takim, jakim go Silber pragnął mieć od samego początku. Rachela podzielała pod tym względem zapatrywania stryja i opiekuna.

— Dzieci mieć nie sztuka — mężowi często powtarzała. — Większa sztuka umieć na dzieci zapracować.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

I głupcy nawet, gdy są zakochani, miewają chwile jasno-widzenia. Gaston nie wykrzyknął *Eureka!* jak Archimedes, powiedział sobie w tylko duchu: — „To mój człowiek, ten, którego szukałem".

Zajmując na progu dawną pozycję z miną wyzywającą:

— Przykro mi ze względu na pana, ale panna Maulabret nie będzie z nim tańczyła tej mazurki.

Albert osłupiał. Chwilę mierzył go od stóp aż do głowy, jakby miał mu ubiór skroić.

— Z kim mam przyjemność mówić? — bąknął lekceważąco. — Ach! jeśli mnie wzrok nie myli, z panem margrabią de Moisieux.. Racz-że mi pan wytłumaczyć, dla czego panna Maulabret, nie ma ze mną tańczyć tej mazurki?

— Oświadczyła przed trzema dniami, gdym ją angażował iż nigdy nie tańczy. Skoro się inaczej namyśliła, ze mną najpierw tańczyć będzie.

— Czyż nie wiesz margrabio że niestałość to pierwszy przywilej człowieka, a szczególniej kobiety? — odrzucił tonem drwiąco pogardliwym.

Podał ramię Jecie, która czuła jak nogi się pod nią uginają.

Oh! proszę pana — szepnęła — czuję się tak znużoną!...

Zmarszczył brew puszystą i zagryzł usta.

— Uwzględniam pani znużenie — rzekł głucho — chciałbym jednak wiedzieć na pewno, iż niema nikogo, któryby śmiał panią przestraszać.

— Bojaźń, to także przywilej kobiety — zaśmiał się Gaston zuchwale

Piorun strzelił z ciemnych źrenic Alberta; pohamował się jednak spotkawszy wzrok błagalny Jetty Oczami zdawała się mówić: — „Utrzymujesz, że mnie kochasz; zaklinam cię więc na wszystko, poświęć dla mnie twój słuszny gniew.

Zdołał się nawet uśmiechnąć. Skłonił się zimno Gastonowi i rzekł ironicznie:

— Panie margrabio, jesteś dla mnie nadto subtelnym. Nie mam zresztą talentu do rozwiązywania zagadek.

— Co do mnie — Gaston napuszył się jak kogut gotów do walki — dam panu chętnie objaśnienie i tłumaczenie w każdym rodzaju

Na szczęście usłyszał gospodarz jego głos podniesiony i nadbiegł w tę stronę.

— Kochany margrabio — starał się ułagodzić tego koguta nasrożonego — pozwól żebym cię przedstawił żonie naszego pierwszego sekretarza w ambasadzie berlińskiej. Tak tam wiele o panu słyszała, iż ginie z chęci poznania cię bliżej.

— Czy on nie drwi ze mnie przypadkiem? — pytał w duchu Gaston, gotów szukać z każdym zaczepki. Powaga jednak eks-prezydenta i ton mowy uroczysty. rozwiały wszelkie jego wątpliwości. Dał się nareszcie uprowadzić panu Vaugenis.

Pan Valport był cały drżący; krew w nim kipiała, w głowie czuł zamęt. Gdy Jettę odprowadził do pierwszego salonu, upatrzywszy wolną zupełnie bankietę wybitą aksamitem posadził ją i sam usiadł obok. Po chwili przemówił głosem urywanym:

— Mam więc wyrzec się szczęścia tańczenia z panią?

— Oh! nic pan na tem nie stracisz — próbowała uśmiechnąć się — zła i smutna ze mnie danserka.

— I wymagasz pani w dodatku — dodał kładąc nacisk na każde słowo — abym wszystko schował do kieszeni, nie żądając owego tłumaczenia, które mi pan de Moisieux ofiarował tak wspaniałomyślnie?

— Oh! na miły Bóg! — złożyła ręce błagalnie.

— Niech i tak będzie.. Sądzę jednak, iż tyle uległości i rezygnacji, warte są nagrody.

Cóż mogła odpowiedzieć? Czuła dość siły, aby otrząsnąć się z czaru serce opanowującego, nie przewidywała jednak tego, co nastąpiło. Do czaru przyłączył się przestrach, a jak przed chwilą Gaston powiedział, bojaźń jest przywilejem kobiety. Naprawdę za wiele się na nią zwaliło. Przez drzwi na oścież otwarte, słyszała muzykę mazurki, to skoczną. to rzewną i rozmarzoną. Po przed jej oczami przesuwały się pary, niczem innem nie zajęte, jak żeby poruszać się z gracją podług taktu, nieść głowę wysoko, i trzymać w objęciu danserkę. W powietrzu kręciły się powłoki od sukien to białych, to kolorowych, raz zamiatając posadzkę, lub unosząc się w wirze, który był niejako uosobistnieniem burzliwych przyjemności światowych. Gdy ci szczęśliwi oddawali się z zapałem tańcowi, o nic się więcej nie troszcząc, ona siedziała na bankiecie aksamitnej, która jej się wydawała skałą wśród puszczy olbrzymiej; gotowała się odpowiadać na pytania niemożebne; miała stoczyć walkę z czemś dotąd nieznanem, tajemniczem, z tą twarzą piękną i szlachetną która wyrażała jednocześnie słodycz i groźbę, z sercem własnem, które błagało o miłosierdzie, z sumieniem, które było pełne niepokoju, z bujną wyobraźnią. która jej ukazywała w lesie dwóch ludzi, pojedynkujących się o nią Pod jakąż gwiazdą fatalną musiała się urodzić? Odkąd zaczęła się nad życiem zastanawiać, oczy jej wiecznie na coś smutnego patrzyły, uszy nie słyszały tylko słowa straszne, przeznaczeniem jej było cierpieć i troszczyć się bez ustanku; z jednego niebezpieczeństwa wpadała, w drugie, a na domiar nieszczęścia, czuła się teraz niby w potrzask złapana. Nadaremnie ptak spłoszony bił skrzydłami po raz dziesiąty szturmując do ścian klat ki; zostawiał pomiędzy jej pręcikami piórka pazurki skrwawione i napełniał ją krzykiem żałosnym, nie znajdując żadnego wyjścia z najciaśniejszej szparki, którą by się mógł wymknąć A tymczasem fortepian się odzywał, pary dalej namiętnie wirowały.

— Pan Vaugenis wyspowiadał się przedemną ze swoich zdrad i podstępów — zaczął piękny młodzian. o tyle niemiłosierny, o ile był zakochany, i który za nic w świecie nie byłby z rąk wypuścił, nadarzającej mu się dobrej sposobności — Wszystkoś pani wysłuchała i wiesz kim jestem Wiesz również, iż mogę odwołać się na życzenie umierającego, który panią kochał szczerze. Czujesz, że w twoim ręku spoczywa los przyszły człowieka... Jestem atomem we wszechświecie, ale ten atom jest ludzką istotą... Posłuchaj pani, za moją uległość, żądam tylko promyka nadziei.

Czyż w górze było zapisano, iż nikt i nic nie przerwie tej nieszczęsnej rozmowy? Rzuciła wzrokiem rozpaczliwym na drugi koniec salonu. gdzie siedziała jej wujenka. Pani Cantarel atoli nie troszczyła się wcale o Jettę, zajęta wyłącznie gawędą z jakimś weteranem w magistraturze, którego niegdyś widywała bardzo często w domu rodziców. Radość mówienia o przeszłości, wyprowadziła ją ze zwykłej apatji i milczenia. Rozmawiała żywo, niemal z ogniem. Są drzewa, które mróz zwarzył u góry, a jednak dołem puszczają zielone gałązki; bywają dusze życiem zmrożone, które kiedy niekiedy budzą się z uśpienia i młodnieją siłą wspomień z lat szczęśliwszych.

— Trochę nadziei — mówił dalej pan Valport — czyż żądam za wiele?

Zdobyła się na odpowiedź:

— Niepodobna! niepodobna.

Zbladł i szepnął:

— Chcesz pani zatem wrócić mi całą wolność? Użyję jej w sposób. którego później sam zapewne będę żałował.

Słowa te można było podwójnie tłumaczyć, ponieważ jednak rzucił jednocześnie wzrokiem w stronę Gastona, którego ruda głowa i plecy wypukłe biły w oczy zdaleka z pod kominka, zadrżała na nowo, pomyślawszy o pojedynku z jej przyczyny i serce jej niemal bić przestało.

— Powiedz pani: „może!“ a odejdę zadowolony — w głosie jego była rzewność z groźbą pomięszana. — Oh, błagam panią, powiedz: „może!“

— Może! — szepnęła nieprzytomna, nie spostrzegłszy wyrazu tryumfu i upojenia, z którym się w nią wpatrywał.

Mimo, iż mówiła półgłosem, jej „może“ podsłuchał pan Vaugenis, który przybywał o sekundę za późno, uśmiechając się ironicznie. Oświadczył jej, iż pan Cantarel uwziął się odjechać przed kolacją. Odkąd przestał być prezydentem trybunału, głównem zajęciem p. Vaugenis było wyszukiwanie w każdym wypadku i wyprowadzanie z każdej sytuacji treści do przysłowia lub komedyjki. Tem można się łatwo pocieszyć w nieszczęściu cudzem; trudniej cokolwiek zapomnieć tym sposobem o własnych dolegliwościach i kłopotach. Odprowadzając Jettę do wujenki, która wstała tymczasem, eks prezydent mówił w duchu:

— Kobieta, która przychodzi z silnem postanowieniem „nie“, a mówi prawie „tak“, mogłaby posłużyć do ładnej sztuczki. Możnaby dać tytuł: *Souvent femme varie.* Eh, nie, trzebaby znaleźć coś nowszego.

W tym dniu pan Cantarel był tak samo nieszczęśliwy w wiście, jak w kupnie fałszywego Fragonarda Przegrał dwadzieścia luidorów, co dołączone do sumy poprzedniej, wprawiało go w humor fatalny. Schodząc ze schodów. spytał Jettę czy tańczyła, a gdy odpowiedziała przecząco, wykrzyknął:

— Do wszystkich djabłów, bałaś się, rzecz naturalna, narazić się tem na wieczne potępienie

XV.

Wzruszenia odniesione tego wieczora, wyczerpały siły panny Maulabret. Wyszedłszy z salonu państwa Vaugenis, czuła się na śmierć znużoną, złamaną, i zaledwie przyłożyła głowę do poduszki, zasnęła snem ciężkim Zapomniała o wszystkiem przez kilka godzin. Ocknąwszy się

ze snu i pamięć odzyskała. Usiadła na łóżku, z włosem rozpuszczonym, z twarzą w dłonie schowaną. Wyglądała na Magdalenę pokutującą i opłakującą swoje grzechy. Jej grzechem jedynym było owo straszne „może“, które pozwoliła sobie wydrzeć podstępnie. Zamiast zwycięstwa na całej linji, na które czekała i które obiecywała święcie własnemu sumieniu, z walki odniosła li początek porażki i mimo wszelkich tłumaczeń, sumienie jej to wyrzucało oburzone Forteca trzymała się jeszcze, nie poddała się całkowicie, oblegający jednak podstępywał coraz bliżej, tryumfując z góry, iż skończyć się musi kapitulacją. Ktoś, co mówi „może,“ wywiesza niemal białą chorągiew.

Na szczęście, liczyła na pomoc. i na jaką jeszcze! Nic nie było stracone, wszystko da się naprawić. Zaledwie się ubrała, Jetta pospieszyła do pani Cantarel, i z natarczywością jakby szło o kwestję życia lub śmierci, błagała, nastawała, aby ją zawiozła po południu do matki Amelji.

Wytrzeszczyła oczy, gdy p Cantarel zamiast wprost odpowiedzieć, rzekła tonem lodowatym:

— Sądziłam moja droga, iż wczoraj rozmawiałaś bardzo na serjo z panem Valport. Nie pytam się jednak o twoje tajemnice — dodała. — Skoro tego pragniesz, zawiozę cię dzisiaj do twojego szpitala, mam coś załatwić w tej części miasta. Wysadzę cię u bramy i powrócę po ciebie za dobrą godzinę. Pan Cantarel o tem wiedzieć nie potrzebuje.

Niecierpliwość panny Maulabret liczyła godziny i minuty. Zdawało się jej. iż ta chwila nigdy nie nadejdzie. Nadeszła jednak, bo wszystko kiedyś nadchodzi. Oh, jakże bruk dziedzińca wydał się miękkim jej stopom! i z jaką radością oczy jej wpatrywały się w te stare mury ceglane. Ich widok napełniał ją błogiem uczuciem prędkiego uwolnienia z więzów światowych — Gdy ztąd wyjdę, powtarzała w duchu, będę zupełnie inną, serce moje będzie lekkie i swobodne. Tu jest miejsce uświęcone, gdzie słyszy się słowa zwycięzkie, uspakajające i leczące, które zdolne ukoić na całe życie i zdjąć z nas ten ciężar trosk światowych.

Weszła wielkiemi schodami, idąc wzdłuż głównej sali, „swojej sali“, jak ją dotąd w myśli nazywała. Wchodząc doznała przykrości; nikogo nie poznała i nikt jej nie poznawał. Szpitale, to domy zajezdne, oberże choroby, która bądź tam zostaje, bądź drugiej miejsca ustępuje. Wszędzie twarze nowe, wszędzie oczy patrzące na nią najobojętniej. Nawet ściany zdawały się spoglądać na nią surowo, jakby mówiły: — „Kim jest ta nieznajoma?“ Daremnie wołała w duszy: — „To ja przecie, to siostra Marja!“ nie mogła ich o tem przekonać. Gdzież była jej szata biała? gdzież zapodziała swój fartuch, który czysty zrana, nie był nim nigdy pod wieczór? Była w kapeluszu z kwiatami. Przychodziła ze świata i tam nazad wracała; świat był jej panem; jego liberję nosiła, a w sercu u niej mieściło się coś dziwnego, coś tajemniczego, niby muzyka, niby sen rajski, z którym nie przychodzi się do sali szpitalnej. Zobaczyła siostrę. która przyszła na jej miejsce, niosącą chorej filiżankę rosołu. Z chęcią byłaby jej filiżankę z rąk odebrała, ale jej ręce były w rękawiczkach zapiętych na ośm guzików.

Znalazł się taki przecież, który ją poznał. Był nim asystent, wychodzący właśnie z sali, w kapeluszu na głowie. Zatrzymał się, drgnął, wpatrzył się w nią badawczo i wykrzyknął:

— Ach, siostro Ma....

Poprawił się natychmiast, zdjął kapelusz i rzekł ceremonialnie:

— Pani raczy mi przebaczyć.. Zapewne chcesz odwidzieć matkę Amelję. Jest u siebie.

Znalazła ją tam rzeczywiście, i matka w niczem się nie zmieniła. Dni i miesiące mijały, twarzy jej nie tykając. Nie była nigdy młodą, nie miała zaznać starości zgrzybiałej. Czas nie ma mocy nad tą, która żyje w wieczności. Dla czegoż panna Maulabret zapukawszy do drzwi i pocisnąwszy klamkę gorączkowo, zatrzymała się chwilę na progu nieruchoma, zmięszana, zastraszona? Nie, to nie była ta twarz, której szukała. Może przemieniła się w jej pamięci i wyobraźni pełnej czci. Pamięć nas częstokroć oszukuje; przemalowuje kontury osób i przedmiotów, owija lekką gazą, łagodząc zbytnią ostrość i kończastość. Panna Maulabret zapomniała najzupełniej. że matka Amelja miała twarz tak straszną i oczy czarne. surowe, nieubłagane, które pochłaniała gorliwość dla świątyni Pańskiej; byłoż możliwem mówić tym oczom o pewnych rzeczach bez drżenia? Przybyła z przedsięwzięciem wypowiedzenia wszystkiego, zrzucenia z serca ciężaru, wylania duszy u stóp tej świętej, aż tu naraz opanowała ją trwoga, od której słowa na ustach zastygały i coś ją w gardle dusiło. Milczała zawzięcie, ucałowawszy z czcią te ręce jak z wosku, mimo, iż matka Amelja zerwała się na równe nogi widząc ją wchodzącą i najuprzejmiej wyciągnęła do niej ramiona. Musiała zatem zacząć Jettę sama wypytywać.

— Czekałam na ciebie, byłam pewna, że przybędziesz... Czyż kazali się długo prosić, zanim ci na to pozwolili?

— Nie matko... Pani Cantarel sama mnię tu odwiozła.

— A ten markiz niebezpieczny, cóż z nim robisz?

— Oh! nie mówmy o nim.. Z tamtąd nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

— Czyś mu odpowiedziała w słowach, które ci byłam podyktowała?

— Nie potrzebywałam użyć twoich rad zbawiennych, bo już nikt mi powtórnie o tem nie wspomniał.

— I myślisz, że cię zostawią nadal w spokoju?

— Tak się zdaje.

— Skoro tak, więc nie bardzo na ciebie nastawali.

— Nie matko. Nie mogę uskarżać się na nikogo.

Matka Amelja wtrąciła po chwili:

— Czy wiesz po co cię zwieźli do Paryża? Powiedzieli sobie zapewne, iż w tem miejscu obłaskawiają się najsnadniej sumienia i najbardziej dzikie, nieprzystępne.. Muszą prawdopodobnie wodzić cię po teatrach i balach?

Te ostatnie słowo, z trudnością przyszło jej wymówić.

— Poleciłaś mi matko..

— No, tak — przerwała niecierpliwie — poleciłam ci ulegać im ile możności. Ci ludzie są skandalicznie podstępni. Gdybyś chciała była żyć na świecie jako Pańska służebnica, byliby gotowi robić trudności, trzymając się litery testamentu. Trybunały były by nam zapewne słuszność przyznały. Lepiej jednak tej sprawy nie rozmazywać, unikając rozpraw publicznych. Pewne dzienniki nie omieszkały by skorzystać z tak dobrej sposobności, aby nas obrzucić potwarzami.. Ale, ale, spodziewam się przynajmniej, że cię do tańcu nie zmusili?

— Nie matko.

— Tem lepiej... Cóż by to była za ciężka próba dla skromnej dziewicy, dla dziecka Marji, uczuć się w objęciu mężczyzny!

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

XXVI

Małżeństwo in extremis.

Zgiełk przeraźliwy, nie do opisania, wybuchnął w obszernej sali sądowej. — Sędziowie wynieśli się cichaczem drzwiami bocznemi i tamtędy również więźniów wyprowadzono. Wojsko hesskie salę zwolna wypróżniało, strzegąc jednocześnie miejsc uprzywilejowanych od natłoku pospólstwa.

Tankred zbliżył się do Kornelji.

— Oto dwa listy — pokazała mu wyjmując z zanadrza. — Łucja pisała je, przeczuwając to, co się stało. Jeden dla ciebie panie hrabio, drugi dla pułkownika Cornwallis. Trzebaby mu wręczyć list natychmiast.

Tankred spostrzegł Pata, w ostatnim szeregu tych, których z sali dość niegrzecznie wypraszano. Skinął na niego.

Paddy wśliznął się jak wąż pomiędzy dwóch niemców, oparł się rękami na ramionach dwóch innych i lekko ze zręcznością klowna najlepiej wyćwiczonego, przeskoczył jednym susem przestrzeń, dzielącą go od Tankreda.

— Brawo! brawo! — rozśmiał się hrabia. — Czy podjąłbyś się zanieść list ale jak najprędzej, sir Reginaldowi? Dowodzi on na placu swoimi dragonami.

— Oh! — Pat cmoknął językiem — bagatela! Będzie go miał za pięć minut!

A uwolniwszy się z szerokich łap germańskich, które miały wielką ochotę za kark go schwycić i porządnie poturbować, niebawem zniknął w tłumie. Hrabia wzrokiem go do drzwi wyprowadził.

— Możemy liczyć z wszelką pewnością na przychylność i spryt tego chłopaka — odezwał się do Kornelji. — Czy wolno mi teraz list przeczytać, który był dla mnie przeznaczony?

— Proszę bardzo

Na bilecie były te trzy wyrazy: „Przyjdź hrabio natychmiast!"

Miss Kornelja wracała również prosto drogą do pałacu; Tankred zatem ramię jej ofiarował. Było to jednak nie lada zadaniem, wyjść z sali. Wszędzie gdzie spojrzeć, mur nieprzebity z ciał ludzkich. Przeszło godzinę czekać musieli, zanim znaleźli się pod gmachu zewnętrzną kolumnadą. Gmach stał na znacznem podwyższeniu. Ztąd obejmywało się wzrokiem niemal całe miasto i wzgórza je opasujące.

Dziwny to był widok. Nad brzegiem morza, na bulwarach, na placu i w ulicach, tłum kipiał, falował i kręcił się, niby wir straszliwy, spychany przez żołdactwo. Zewsząd podnosił się odgłos stłumiony i dziwnie pomięszany, niby huk podziemny wulkanu przed wybuchem. Można było rozróżnić okrzyki na cześć więźniów, odprowadzanych do więzienia, dzikie złorzeczenia miotane na szarżujących kawalerzystów, tłum tratujących bez ceremonji, tudzież głuche jęki, gdy kogo dosięgła kolba żołnierza lub końskie kopyto. Lud zdawał się przywiedziony do ostateczności, powstrzymywał się atoli, czekając widocznie na czyjeś hasło

Gdy Tankred ze swoją towarzyszką znalazł się wreszcie przed bramą pałacu Leinster, słońce zaszło zupełnie i noc zapadła. Przybywał jednocześnie i Reginald. Towarzyszył mu jeden z jego oficerów.

— Tego sobie miss Łucja życzyła — tłumaczył pułkownik. — Pozwólcie państwo przedstawić sobie lorda Roden, rotmistrza w moim pułku i najlepszego przyjaciela. Milordzie! hrabia Tankred Gaillefontaine.

Dwaj dżentelmeni skłonili się uprzejmie jeden drugiemu.

— Czy wiesz sir o co idzie? — spytał Tankred.

— Nie mam wyobrażenia! — bąknął Reginald. — Ale wejdźmy

Nigdy może nie wyglądał młody pułkownik tak wspaniale, jak dziś, w mundurze galowym, którego zdjąć nie miał czasu. Cała rodzina znajdowała się w salonie. Treść wyroku była im już znana.

— Milordowie! — Łucja pierwsza przemówiła — wezwałam was, za wiedzą i z przyzwoleniem matki mojej.

Wzruszona i blada śmiertelnie, zawahała się i głos jej się złamał.

— Mów dalej, moje dziecię! — matka zachęciła ją tonem uroczystym.

— Reginaldzie! — słodko przemówiła — powtarzałeś mi nieraz, iż gdybym żoną twoją została, mógłbyś o wiele skuteczniej bronić sprawy Edwarda. Czyś zdania nie zmienił? Czy kochasz mnie jeszcze?

— Czy ciebie kocham?! — zawołał namiętnie, z głębi serca.

— A zatem — przerwała mu z rumieńcem dziewiczej wstydliwości na jasnem czole — czeka na nas w kaplicy kapłan katolicki. Świadka przyprowadziłeś. Moim raczy być hrabia Gaillefontaine.

Listy były wytłumaczone. Tankred skłonił się nisko.

— Jestem jak zawsze, gotów na twoje rozkazy miss Łucjo! Pozwól mi nazwać ciebie po raz ostatni tem imieniem.

Nikt, oprócz może jednej Łucji, niedosłyszał westchnienia na pół stłumionego, ani spostrzegł wzroku tęsknego, którym hrabia zdawał się gonić, tam, w górze, jakiś mglisty obraz, rozpływający się w powietrzu..

Pałac książąt Leinster, jak każda niemal pańska rezydencja w Irlandji, posiadał własną kaplicę. Kapelan nadworny, poczynił już stosowne przygotowania. Połączył dwoje małżonków ślubem nierozerwalnym, dozgonnym Zaledwie skończyła się kościelna ceremonja, Łucja zwróciła się do męża: — Teraz Edward jest także twoim bratem, ratuj go! ratuj go!

— Rozumiem! — Reginald do głębi wzruszony pochwycił ją w ramiona i namiętnie do piersi przycisnął. — Tu! w obliczu Boga przysięgam, że mnie nie zobaczysz, chyba z nim razem!

Ta obietnica mogla niemal służyć za pożegnanie na zawsze. Odszedł też natychmiast, zabierając obu świadków.

— Obejmiesz milordzie za mnie dowództwo tymczasem — zwrócił się do rotmistrza. — Aż do nowego rozkazu, moim najświętszym obowiązkiem myśleć o uratowaniu Fitz-Gerald'a!

— Tankredzie! — przemówił z czułością niemal do hrabiego. — Może, iż nadużyję twojej gotowości w poświęceniu się dla Edwarda, drogi przyjacielu! Bądź tak dobry i nie wychodź z domu, przynajmniej do północy.

Wskoczył na konia, którego dotąd trzymał przed pałacem jego podkomendny i puścił się galopem.

Tankred wracał do domu pieszo, aby mógł sobie zdać sprawę ze stanu umysłów i powziąć wyobrażenie o usposobieniu pospólstwa; nałożył znacznie drogi, przechodząc przez starą część miasta, Ghetto Dublina, nazywane pospolicie Liberties.

Tam w domkach przez pół rozwalonych, w ziemię zapadłych, w piwnicach, w norach ohydnych, ciemnych, wilgotnych i cuchnących, roi się setkami, wegetuje, nurzając się w kale wszelakim ludność najbiedniejsza, wiecznie głodna i prawie naga; stek żebraków i kalek najwstrętniejszych, jakich nie widuje się już gdzie indziej, a tylko słyszy się i czyta o podobnych okropnościach, z epoki wieków średnich.

Zewsząd dolatywały dzikie groźby i złorzeczenia, a pięście zaciskały się kurczowo. W świetle rewerberów, Tankred ujrzał snujące się owe typy, owe postacie, które w wielkich miastach, w przededniu rewolucji, zdają się niby z pod ziemi wyrastać i w oka mgnieniu mnożą się na krocie. Szumowiny, zrodzone w kale nędzy i występku. Przeczuł i odgadł widząc po rogach uliczek bruk poniszczony, stosy kamieni i innych rupieci, światła tu i owdzie migające, iż zamyślają bronić się na serjo, że stawiają barykady i po cichu ostrzą noże!

W ulicach szerszych, przez stan kupiecki zamieszkałych, wszystkie magazyny były szczelnie pozamykane, we wszystkich domach było ciemno i cicho. Gdy hrabia wrócił do domu. Pat, zdejmując płaszcz z niego, szepnął:

— Arrah! Coś się psuć zaczyna! — A gdy Tankred zmierzył go wzrokiem surowym: — Oh! ja przecież myślałem tylko o pogodzie — mrugnął jednem okiem ku niebu, po którem przelatywały z hukiem i łoskotem błyskawice oślepiające.

Powróćmy atoli do Reginalda, któregośmy zostawili galopującego w kierunku pałacu wice-króla Za chwilę wchodził do gabinetu ojca.

— Co ci jest Reginaldzie? — spytał zaniepokojony, rzuciwszy okiem na syna wchodzącego. — Takiś blady strasźliwie. Sam zresztą jestem smutny i wielce przygnębiony. Jeżeli masz do mnie jaki interes osobisty Reginaldzie, mów prędko! Korzystaj, póki jesteśmy sam na sam...

— Ojcze! — złożył ręce. — Przyszedłem cię błagać o łaskę!...

— O cóż to?...

— O łaskę dla jednego z tych, którzy przed chwilą zostali na śmierć skazani!

Lord Cornwallis zmarszczył czoło.

— Nie zastanowiłeś się synu — rzekł poważnie — iż podobny przywilej przysługa jedynie, a raczej przysługiwał królowi Jerzemu.

— Co chcesz ojcze przez to powiedzieć?

— Odebrałem w tej chwili depeszę.. Czytaj!...

Depesza te słowa zawierała:

„Aby uniknąć wszelkich próśb i kroków bezużytecznych, mam zaszczyt milordzie, oznajmić niniejszem, decyzję powziętą z góry przez najjaśniejszego pana.“

— Oto jest tutaj! — ojciec podał synowi inną ćwiartkę pargaminu

Reginald czytał dalej:

„Zważywszy niegodziwości i niecne występki, popełniane bez liku przez buntowników. w naszem królestwie Irlandji, zrzekamy się tym razem wyjątkowo, przysługującego nam prawa łaski monarszej.“

Podpis następował:

„Jerzy. Król. m. p.“

Pargamin wysunął się z drżących dłoni Reginalda. Wykrzyknął:

— Użycz mi przynajmniej ojcze kilku dni zwłoki i pozwól pojechać do Londynu! Mam słowo i solenną obietnicę księcia Galji, że...

— Pozwól tylko! — przerwał mu lord Cornwallis — nie przeczytałeś końca Pitt'a depeszy:

„W dwadzieścia cztery godzin, po zapadnięciu wyroku, ma być takowy wykonanym.“

Reginald zrazu osłupiał. Otrząsnął się jednak szybko z pierwszego wrażenia i rzekł dumnie głowę podnosząc:

— Przysiągłem, że Edward nie zginie!

— Jakiem prawem? — wice-król odpowiedział. – Nie trać zdrowych zmysłów synu kochany i nie bądź względem ojca własnego niesprawiedliwym i niewyrozumiałym. Nie byłżeś świadkiem nadludzkich wysiłków aby cel ten osiągnąć? Wszystkie spełzły na niczem. Szczerze nad tem ubolewam. Oto jednak rozkaz. Chciej wierzyć, iż będzie on równie bolesnym dla mnie jak dla ciebie. Patrzyłem chętnie na twoją miłość i pozwoliłem na twój związek z Łucją Fitz-Gerald...

Reginald przerwał mu nawzajem:

— Nie ma już mój ojcze Łucji Fitz-Gerald. Jest tylko Łucja Cornwallis twoja synowa.

— Cóż to się znaczy? Tłumacz się jaśniej.

Z uszanowaniem, ale bez trwogi i wahania opowiedział o ślubie. który odbył się przed chwilą. Wice-król mruknął gniewnie:

— Mogłeś przecie zasięgnąć wpierw mojej rady! Nie zasłużyłem na to, żebyś nie pamiętał nawet, czy masz ojca!

— Zaklinam cię. ojcze! — Reginald zaczął błagać na nowo — ty nie zapominaj, żeśmy oboje teraz dziećmi twojemi! Posłuchaj mię tylko łaskawie! Wiem. ile mnie kochasz. mój ojcze najlepszy, nie rozdzieraj że mi serca bolem nad siły! Przysiągłem Łucji, mojej małżonce... Gdybyś wiedział jak ją kocham! Muszę jej brata uratować. bo inaczej nie śmiałbym się jej na oczy pokazać, a to by mi życie na wieki zatruło. Oh! wolałbym tu zaraz paść trupem u nóg twoich.

Nie był to ten sam co dawniej człowiek. Namiętność długo w sercu tłumiona, na jaw występywała, wszelkie tamy gwałtownie zrywając Drżący, zrozpaczony, bezprzytomny, upadł na kolana z rękami załamanemi, łzami zalany, przed tym, którego daremnie błagał o zmiłowanie.

Na twarzy zwykle bez żadnego wyrazu lorda Cornwallis'a, czytało się walkę wewnętrzną i wielkie wzruszenie. Pohamował jednak i stłumił w sercu uczucia ojcowskie odpowiadając zimno, tonem nieodwołalnym:

— Nie mogę nic uczynić, nic zgoła — A podniósłszy natychmiast syna i ściskając czule w ramionach:

— Odwagi Reginaldzie! — dodał tonem łagodnej perswazji — Kocham cię pewno mój jedyny i radbym cię widzieć szczęśliwym, dziecię drogie Życie oddałbym za ciebie, ale honoru poświęcić nie mogę. Odwagi! Jesteś przecie mężczyzną.

— Przez pamięć matki mojej..

— Ach, nie męcz mnie dłużej, skoro ci raz powiedziałem, że honor mi na to nie pozwala — wice król prze-

mówił tym razem tonem tak stanowczym, iż wykluczał wszelkie dalsze usiłowania w tym kierunku. — Odwidzę sam księżnę Leinster. Ona mnie zrozumie i potrafi wytłumaczyć. Odejdź! Prawdopodobnie będziemy mieli napad w nocy, napad z bronią w ręku. Jesteś przedewszystkiem żołnierzem. Wracaj natychmiast na stanowisko, powierzone twojemu honorowi.

Pułkownik uczuł, iż daremnemi byłyby dalsze prośby i usiłowania. Usłuchał rozkazu i wyszedł zataczając się jak pijany. Głowa mu pałała. Płatki krwawe wzrok zasłaniały. Idąc po wschodach, musiał oprzeć się o mur, aby nie upaść.

Chłód nocny podziałał na niego zbawiennie. Wsiadł znowu na konia, jadąc na chybił trafił. Ulice były już zupełnie puste, burza huczała coraz groźniej w powietrzu. Spadły pierwsze krople deszczu. Reginald spiął konia ostrogami, nie kierując nim jednak zupełnie. Potrzebował tylko ruchu gwałtownego. Lękał się naprawdę, żeby mu się zmysły nie pomięszały.

Ile tak godzin po polu harcował? Sam nie wiedział. Gdy chciał sobie zdać sprawę z tego, ujrzał się nagle znowu przed pałacem wice-króla.

Przypomnijmy sobie, iż pałac nowy i stary zamek, w nocy tworzyły niemal jedną, olbrzymią masę kamieni gmach ponury jak grób i jak grób cichy o tej godzinie.

W dwóch pokojach świeciło się dotąd; w części nowo zbudowanej, w gabinecie wice-króla; w zamczysku, w kancelar i główno-dowodzącego twierdzą, w której były zamknięci więźniowie.

Reginald drgnął, jakby mu nowy pomysł strzelił do głowy.

— Ach! — szepnął sam do siebie — Może to z nieba natchnienie! ostatni promyk nadziei.

XXVII.

Dwa pierwsze środki.

Reginald jechał teraz stępo

Skierował konia spienionego ku zamczyskowi, który był jednocześnie więzieniem stanu i fortecą. Brama chociaż przez oddział żołnierzy strzeżona otworzyła się natychmiast, skoro się zbliżył do niej syn wice-króla. Zeskoczywszy z siodła, pod pierwszem zaraz sklepieniem, Reginald spytał o kapitana Perkins'a. Tak się bowiem nazywał dowódca. Szkot z rodu, z lewem ramieniem amputowanem.

Reginald kazał się tam zaprowadzić. Przechodząc przez dziedziniec, zobaczył armaty wytoczone, których tu kiedy indziej nie widywał. Na wałach fortecznych, w każdej strzelnicy był wylot armatni. Przy każdym zaś stał artylerzysta z lontem gotowym. Kilku oficerów wyższych, przechadzało się tam i nazad. Jeden z nich chroniący się przed deszczem pod kaptur grubego płaszcza wojskowego, nie mógł powtrzymać się od lekkiego wykrzyknika, zdziwiony niesłychanie, zkąd się tu wziął o tak późnej godzinie pułkownik od dragonów?.

Ten jednak nikogo nie widział, nic nie słyszał, zajęty wyłącznie myślą, żeby zobaczyć się jak najprędzej z Perkins'em.

Skoro Reginalda zapowiedziano, otworzyły się natychmiast przed nim drzwi od mieszkania kapitana

Zastał Perkins'a pochylonego nad stołem, na którym leżały, plan dokładny pałacu wice-króla i gmachu więziennego, tudzież mapa lasów i gór Dublin okalających. Na odgłos kroków gościa niespodziewanego, podniósł ku niemu twarz pucułowatą, czerwoną jak piwonja, z czupryną szpakowatą, krótko przystrzyżoną i takiemiż bokobrodami.

Nie było zapewne w tych rysach pospolitych, nic bohaterskiego, ale był to nie mniej typ w swoim rodzaju; typ owej krotochwilnej, rubasznej serdeczności żołnierskiej, którą spotyka się częściej, niż by kto mógł przypuścić mimo wrodzonej John Bullom sztywności, pod mundurem angielskim.

— *Goddam*! — zawołał — wielce szczęśliwy i zaszczycony!... I powiedzieć, że jeszcze przed kwadransem, byłbym zmuszony odmówić sobie tej przyjemności!... Ho! ho! trzeba było wszystkiem zarządzić, aby nie dać się złapać i starej forteczki na szwank nie wystawić. Niech nas teraz zaatakują, a na mojego patrona świętego Dunstana, będzie heca nie lada!... Pamięta pan pułkownik, to stare szatro, któreśmy bronili nad jeziorem Ontario, przeciw całym stadom czerwonoskórych? Nie spodziewali się wcale, że im zagrają do tańca moje armatki!... Aż tu naraz... Bum! Bum!.. Brzdęk!.. Ha! ha! ha! toż to psiarstwo wzięło nogi za pas, a uciekało pod ogniem kartaczowym! Staczało to się z wałów jak piłki, w pół nagie, a czerwone jak rak ugotowany!... Istna była komedja!... Ale pan pułkownik jakoś się nie śmieje... Co ci się stało milordzie?..

Ostatnie słowa wymówione były w zupełnie innym tonie z ojcowską niemal czułością i troskliwością. Kapitan, mając wzrok bardzo słaby, teraz dopiero, wpatrzywszy się uważniej w Reginalda, dostrzegł w nim dziwne znękanie i bladość śmiertelną.

— Mój poczciwy, kochany Perkins! — odezwał się Reginald głosem stłumionem — przyszedłem cię prosić o bardzo wielką przysługę!

— Zawsze gotów na twoje rozkazy milordzie! — stary żołnierz żywo zawołał. — Czyż nie ja cię pierwszy uczyłem bić się na szpady i pałasze? Nie pod moją to komendą szedłeś po raz pierwszy w ogień? Byłeś wtedy młodzieniaszkiem, dzieckiem prawie, ale *Goddam*! co to był za występ! A łaski twojego ojca rozliczne, a twoje do starego piastuna przywiązanie? Czy myślisz milordzie, że o takich rzeczach można kiedy zapomnieć? Oddać tobie przysługę? Ależ to zbytek szczęścia! i co tylko zostało ze starego Perkins'a, stoi na usługi!.. Mów tylko śmiało milordzie!..

To gorące przyjęcie jego prośby, zachęciło i ośmieliło Reginalda.

— Rzecz da się streścić w kilku słowach — głos zniżył do szeptu — Idzie mi o wykradzenie jednego z uwięzionych..

Perkins zerwał się na równe nogi.

— *Aoh*! Wasza wysokość raczy sobie żartować ze starego!...

— Czyż mnie w głowie żarty!.. Przypatrz mi się tylko kapitanie!...

— Istotnie!... — jąkał się starzec zmięszany — wyglądasz milordzie jak dezerter z katafalku!...

— Choćby za cenę najwyższą!... — wykrzyknął młodzieniec — muszę uwolnić Fitz-Gerald'a! Jesteś ubogi Perkins'ie; pomyśl o twoich dzieciach. Cały mój majątek...

Inwalid przerwał mu wzniosłym bolu okrzykiem:

— Ach! Mnie dawać pieniądze!... Żądaj milordzie drugiej ręki, która mi została... oddam ci ją za darmo... Ale zdradzić!... za nic w świecie!

— Przebacz kapitanie! przebacz! — szepnął kusiciel, zmięszany i zawstydzony tą uczciwością nieskazitelną, którą mógł tak zapoznać. A jednak nie chciał dać za wygranę, tylko błagał i zaklinał coraz goręcej, coraz natarczywiej. Przejęty do głębi cierpieniem młodzieńca, i tem, że musi odmówić prośbie, na której pułkownikowi tak bardzo zależało, starzec rzekł wreszcie ze łzami w oczach, ale tym samym tonem nieodwołalnym, jakim niedawno wice-król przemawiał:

— Nie mogę! Jestem żołnierzem! Tu, tak samo jak na polu bitwy, rozkaz z góry odebrany, to mój sztandar. Do stu piorunów! chcę zachować mój honor nietknięty, czem właśnie zasłużę jedynie na twój szacunek, panie pułkowniku!

Było w rzeczy samej coś wzniosłego i rzewnego w tej prostocie trochę szorstkiej, w tem wyznaniu wiary żołnierskiej. Nagle otworzyły się boczne drzwiczki, starannie tapetami zamaskowane, a na progu ukazał się sam lord Cornwallis.

— Bravo! Perkin's! — poklepał go po ramieniu — kontent jestem z ciebie, mój stary druhu! — A zwracając się do syna z rozkazem surowym, na który nie było odpowiedzi: — Za dziesięć minut, masz stanąć na czele pułku i objąć komendę! zrozumiałeś?!...

— Oh! dam się zabić! — Reginald porwał się oburącz za głowę z dziką rozpaczą.

— Jeżeli zajdzie tego potrzeba, spełnisz tylko świętą powinność! — ojciec zakończył stoicznie.

Reginald jak dziecko zaszlochał.

— Jenerale! — Perkins błagał wzrokiem i głosem drżącym.

— Czynię to li dla ciebie, stary przyjacielu! nie dla niego! — szepnął wreszcie ojciec drżący bądź jak bądź o życie jedynaka i przycisnął syna do piersi namiętnie.

Natychmiast starał się opanować rozrzewnienie i słabość, którą już sobie wyrzucał, a zwracając do poprzedniego tonu lodowatego dodał:

— Dość już tej słabości niegodnych mężczyzn, a w szczególności żołnierzy.. Chcę o wszystkiem zapomnieć Reginaldzie, ale czas nagli... Idź!... i spełnij twoją powinność!

Bezprzytomny Reginald wybiegł z zamczyska.

Nie wiele z drogi zbaczając, mógł na upartego wstąpić do Tankreda, zanim by się dostał do koszar, gdzie stał jego pułk. Bezwiednie znalazł się przed domem hrabiego. Coś sobie instynktowo przypominał, w bezładzie, który mózg mu rozsadzał iż kazał czekać na siebie Tankredowi. Skoro usłyszał tentent kopyt końskich po bruku, hrabia wybiegł na balkon.

— I cóż? — spytał niecierpliwie.

— Ach! — jęknął boleśnie Reginald — ach! jestem od Boga przeklęty! Nic nie zdziałałem! Nic nie zdziałam! ani dla niego! ani dla niej!

Nagle w stronie zamku starego, odezwały się gęste strzały karabinowe. Pułkownik nie zsiadł z konia, podniósł się więc teraz w strzemionach, pilnie nadsłuchując.

Gaillefontaine wszystko zrozumiał:

— Czego nie uzyskałeś ty biedny, kochany przyjacielu, drogą łaski — tłumaczył Reginaldowi — inny chce wydrzeć przemocą.

— Jakto?... myślisz zatem..

Hrabia bąknął z cicha:

— *Wild-Irish!*

Wzmogły się wystrzały. Okrzyki potężne wznosiły się aż pod strop niebieski: *Erin go bragh*!

Widocznie przypuszczano atak do gmachu więziennego.

— Rewolucja! — krzyknął Reginald, jakby ze snu zbudzony. — Ach! przypominam sobie... muszę spieszyć... powinność mnie woła! Jeżeli zginę, proś Łucji aby raczyła zapomnieć... przebaczyć nieszczęśliwemu!..

I nie wahając się dłużej, pogalopował do koszar, aby stanąć na czele pułku dragonów, którymi kazano mu dowodzić.

Powstańcy liczyli, że z pomocą nocy ciemnej i burzliwej zejdą załogę forteczną niespodzianie. Tymczasem jak wiemy, stary Perkins właśnie im zrobił niespodziankę. Powtórzyła się sa sama scena, którą raz już odegrał ze skutkiem pomyślnym nad jeziorem Ontario.

Pozwolono powstańcom wejść na wały forteczne i zbliżyć się na strzał do samych murów. Wtedy zagrały armaty, posypały się kartacze i w okamgnieniu plac przed zamkiem oczyszczono.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Pogadanka.

Lwów d. 9. Czerwca 1888 r.

O sześć mil od Lwowa, nad brzegami Dniestru, leży miasteczko Mikołajów, obok którego przechodzi linja kolei państwowej. Jadący ku Karpatom, widzi na lewo, o pół mili od Mikołajowa, w miejscowości pustej i odludnej, olbrzymi gmach kilko piętrowy, dokoła którego roztaczają się ogrody, obejmujące kilkadziesiąt morgów przestrzeni. W pobliżu gmachu znajduje się cały rój domków murowanych, okrytych żywą zielenią. Odludna ta kolonia, to zakład dla sierót, ufundowany przed laty czterdziestu przez hr. Stanisława Skarbka.

O wielkich rodzinach i mężach stanu, szafujących tak imieniem jak życiem miljonów, mówią głośno współcześni, a historja pisze o nich długo i szeroko; przeciwnie, cisi a wytrwali pracownicy, choćby ich działalność dla społeczeństwa, wśród którego żyli, była bardzo zbawienną, są dla współczesnych nieraz przedmiotem urągania, historja zaś najczęściej nic o nich nie wie.

Otworzywszy dziś najświeższą encyklopedję Brockhausa, znalazłem w niej nazwisko Ottona Hausnera, dzielnego posła galicyjskiego, który jednak dotąd tem się tylko wsławił, że w parlamencie wiedeńskim kilka dobrych mów powiedział, lecz dla swego kraju jeszcze nic dodatniego nie zdziałał; wszelako napróżno szukałem w niej nazwiska hr. Stanisława Skarbka, męża miary niezwykłej, który o całą głowę przerósł współczesnych, a jako filantrop stoi na czele wszystkich dobrodziejów Galicji. Lecz czyż możemy się dziwić Brockhausowi i jego — encyklopedji, skoro jeszcze do niedawna pamięci Skarbka niejeden u nas złorzeczył i nawet trudno się było dowiedzieć, gdzie właściwie jego zwłoki spoczywają. Dopiero w ciągu ubiegłego miesiąca przypomniano go pamięci ogółu.

A człowiek to był niezwykły, jeden z tych, których niestety jeszcze wciąż mamy zamało. Urodził on się w r. 1780 z ojca Jana i Teresy z Bielskich, a gdy osiągnął pełnoletność, odziedziczył dobra Brzozdowce i Rożniatów, położone we wschodniej Galicji. Młodość miał trochę burzliwą, wtedy też jego majątek prędko się uietnił; opamiętawszy się jednak dość wcześnie, zakasał rękawy, wziął się do pracy i od tego czasu, do samej śmierci, która w r. 1848 nastąpiła, widzimy go bez przerwy zajętego powiększaniem fortuny, którą miał krajowi zostawić. W epoce, w której złota młodzież wszelką pracę poczytywała wprost za hańbę, zjawisko to było niezwykłe i w swoim rodzaju jedyne, gdy potomek rodu senatorskiego, utuczywszy woły w swojej gorzelni, siadał na dryndę i powoli, jak z mazią, jechał za niemi to do Ołomuńca, to do Wiednia, by je tam sprzedawać bez pośredników, którzy łatwo mogliby go oszukać. Z otrzymaną gotówką wracał czemprędzej do domu, gdzie stawiał młyny, budował tartaki, zakładał gorzelnie i browary, a że ludziom nie dowierzał, więc sam wszędzie zaglądał sam był właścicielem, kasjerem i rachmistrzem, sam kupcem i dostawcą. Arystokracja patrząc na niego. z politowaniem ramionami wzruszała, demokracja zaś złorzeczyła mu jak zdrajcy, hr. Stanisław bowiem powtarzał przy każdej sposobności:

— Nam nie potrzeba czczych frazesów, ale pracy i oszczędności. Nas nie krzykactwo zbawi, jeno praca i oszczędność. Miasto marzyć, myślcie; miasto hałasować pracujcie; miasto trwonić mienie ojców, oszczędzajcie; a kraj będzie wam wdzięczny.

Zdrowe te zasady nie mogły jednak wydać plonu obfitego, ponieważ całe ówczesne społeczeństwo było zdolne do wszystkiego, tylko nie do pracy, która mu się wydawała zbyt poziomą, prozaiczną. Miasto więc słuchać człowieka rozumnego, wolała na niego plwać i nazywać go bądź zacofańcem, bądź szwarcgelberem (od kolorów austrjackich), bądź nawet zdrajcą! Ci, którzy się bawili także w trzeźwych, lecz na inną modę, nie pomawiali hr. Skarbka o uczucia antipatrjotyczne i zamiary dla kraju szkodliwe, tylko przypisywali mu instynkta czysto egoistyczne, między któremi sknerstwo miało główną rolę odgrywać. Skarbek był w rzeczy samej skąpym, ale jak się później okazało. nie dla tego oszczędzał, żeby lubił złoto dla jego blasku, lecz że pragnął mieć go jak najwięcej dla tem łatwiejszego osiągnięcia celu zamierzonego.

Sądzę, że nie będzie od rzeczy, jeźli w tem miejscu przytoczę fakt niezmiernie charakterystyczny z jego działalności. Kupcy i rzeźnicy, a byli to wówczas sami żydzi, widząc, że hr. S. robi na wołach dobre interesa, zawarli sojusz i rzeźników wiedeńskich nakłonili aby od niego wołów nie kupowali. Hrabia przyjechawszy raz do Wiednia znalazł się istotnie w przykrem położeniu, ponieważ nie mógł zbyć swego towaru. Inny na jego miejscu byłby może ręce opuścił i dał za wygranę — on jednak nie należał do ludzi zrażających się byle jaką przeciwnością. Jednego dnia rzeźnicy oświadczyli mu, że jego wołów nie kupią, a on już nazajutrz, dzięki swoim stosunkom. miał w kieszeni konsens na założenie własnej rzeźni, którą też niezwłocznie otworzył. Gdy zaś zaczął mięso po zniżonych cenach sprzedawać, rzeźnicy natychmiast kapitulowali i odtąd woły hr. Skarbka były na targowicy wiedeńskiej poszukiwane i najlepiej płacone.

Fakt drugi jest niemniej ciekawy. W rozległych dobrach rządowych, przytykających do jego majątków, żydziarendarze sprzedawali umyślnie wódkę tanio, aby mu popsuć „prowincję“. Skarbek, nie namyślając się długo, staje na licytacji przeciw żydom i bierze propinację we wszystkich dobrach rządowych. Odtąd nie żydzi jemu, lecz on żydom prawa dyktował. Praca jego wytrwała przyniosła plon obfity. Najpierw oczyścił swoje dobra familijne, które w młodości mocno był zadłużył, następnie zaczął skupować nowe majątki. I szło mu to tak dobrze, że umarł panem 39 wsi i 4 miasteczek. W dobrach tych samego lasu materjałowego jest przeszło 50.000 morgów, a wartość ich ogólna wynosi dziś około 6 milionów guldenów.

W roku 1838 zaczął budować we Lwowie teatr, którego pierwszym dyrektorem był ś. p Jan Nepomucen Kamiński, umierając zaś, przeznaczył wszystko co posiadał na wielki zakład dla sierot, pod który fundamenta sam założył w pobliżu Mikołajowa, na polach wioski Drohowyże. Po śmierci wielkiego filantropa i niepospolitego pracownika na polu ekonomicznem, rząd austrjacki sławny z zaprzepaszczania wszelkich fundacyj dobroczynnych, tak pięknie administrował jego majątkiem, że ani zakład przez długie lata nie mógł wejść w życie, ani dochodów nie było. Pierwszy kurator fundacji. książę Karol Jabłonowski, nie okazał także zbyt wiele energji, dopiero gdy po r. 1870 dziennikarstwo lwowskie, a właściwie sam jeden „Dziennik Polski“ którego właścicielem i redaktorem był wówczas Józef Rogosz, gwałtownie na alarm uderzył, dopiero wtedy przystąpiono do budowy gmachu, który w lat kilka został ukończony. Odtąd mieści się w nim rok rocznie przeszło 400 sierot, w połowie chłopców, w połowie dziewcząt, z których pierwsi uczą się rzemiosł rozmaitych, podczas gdy drugie kształcą się na wzorowe gospodynie. Przed trzema laty umarł książę Jabłonowski. Po nim został kuratorem fundacji, hr. Henryk Skarbek, syn Fryderyka, znany dobrze w Warszawie. Za jego rządów, dyrekcję w zakładzie drohowyzkim, po panu Juliuszu Starklu objął znany poeta Karol Brzozowski.

Przed miesiącem, w dzień św. Stanisława, wyjęto we Lwowie z grobu zwłoki filantropa i z wielką okazałością przywieziono je do Drohowyża, aby je złożyć w tamtejszej kaplicy. Na pogrzebie byli wszyscy lwowscy arcybiskupi trzech obrządków: łacińskiego, greckiego i ormiańskiego, namiestnik, marszałek krajowy i bardzo wiele innych wybitnych osobistości. W mowach które nad trumną rozmaici ludzie wypowiedzieli, oddało nareszcie społeczeństwo należny hołd pamięci niepospolitego człowieka, którego za życia czerniono, choć życie jego całe było poświęcone dla dobra powszechnego.

Oto jak wyglądają sądy ludzkie...

Swift powiedział, że ten za najrozumniejszego człowieka zwykł uchodzić, kto każdemu to mówi, co mu przyjemność sprawia; co zaś do społeczeństw, te tylko tych uważają za prawdziwych patrjotów, którzy schlebiają ich uczuciom.

Marzycielskim był nastrój przed laty 40-stu, więc człowiek trzeźwy nie mógł być wtedy zrozumiany i należycie ceniony. Ale w ciągu tego czasu, jakże wiele u nas się zmieniło! Bańki mydlane prysły, z marzeń żadne się nie urzeczywistniło, a nędza ekonomiczna, której ś. p. Stanisław Skarbek chciał zaradzić, wyszczerza do nas straszne zęby. Dziś nie złorzeczymy więcej wielkiemu filantropowi, ani nie szydzimy z jego skąpstwa — przeciwnie, dziś czcimy jego pamięć jak relikwję, gdyż wiemy, że możemy się dźwignąć tylko przez pracę i oszczędność!

p.

PORADNIK DOMOWY.

Angielski sposób przyrządzania séra.

Mięsza się razem świeżo udojone mleko ze śmietaną zebraną z mleka udojonego w dniu poprzedzającym w wieczór, cedzi się wszystko przez płótno i dodaje nieco podpuszczki. Nakrywa się garnek i stawia w ciepłem miejscu na pół godziny w zupełnym spokoju. Gdy już twaróg stężeje, spuszcza się serwatkę i przydaje do niego w stosunku na 70 części mleka jedną część świeżego masła. Dobrze się mięsza, dodaje soli i znowu mięsza. Nakłada się mięszaninę w formę, wysłaną wilgotnem płótnem i kładzie pod prasę. Po upływie pół godziny sér się przewraca i znowu prasuje, powtarzając prasowanie 4 do 5-ciu razy i owijając sér za każdym razem świeżym wilgotnym płatkiem. Dobre wyprasowanie gra ważną rolę i w dobroci séra i w łatwości przechowania takowego. Obmywa się ostatecznie serwatką i prasuje przez suche płótno dopóty, aż wszelka wilgoć zostanie wyciśnięta. Poczem wynosi się do sérnika, tam często przewraca i obciera, dopóki zupełnie nie wyschnie. W tym stanie daje się przechować cały rok bez zepsucia.

Ważne dla cyklistów.

Często zdarza się, że przy dłuższej jeździe na welocypedzie, kauczuk odkleja się od obręczy kołowej, czyli tak zwanego dzwonu i jazdę utrudnia a nawet uniemożliwia. Dla przymocowania kauczuku używa się kleju, przyrządzanego na ten cel przez fabrykantów, klej ten wszakże jest niepraktycznym i dlatego podajemy tu przepis na inny, o wiele od niego lepszy. Przedewszystkiem trzeba oczyścić kauczuk, zeskrobując pozostały klej piłką jakiej się używa do tarcia drzewa, lub innem odpowiednem narzędziem, potem oczyszcza się tem i obręcz, ponieważ kurz i błoto przeszkadzają stopieniu i bywają często przyczyną odklejania się. Po uskutecznieniu tego wlewa się w wydrążenie obręczy następującą mięszaninę: pięć kawałków prawdziwego kauczuku rozpuścić w benzynie i wlać do jednego naczynia; jednocześnie, mniej więcej takąż samą ilość kleju zwykłego wrzucić w drugie naczynie, poczem zagrzać każde z osobna na umiarkowanym ogniu. Kiedy kauczuk będzie już w stanie ciepłym, dolać do niego rozpuszczonego kleju, mięszając przytem i bacząc, aby w nim nie było kawałków drzewa i t. p. a także, aby się nie przypalił. Tak przygotowaną masą, przykleja się kauczuk, który bardzo silnie trzyma się obręczy.

Kawa na wodzie dystylowanej.

Kawa, gotowana na wodzie dystylowanej, jest znacznie smaczniejszą od przyrządzanej sposobem zwyczajnym. Gatunek wody, tak samo, jak w piwowarstwie, gra tu ważną rolę. Tłumaczy się to reakcją, jaką wywierają węglany, rozpuszczone w wodzie, kwalifikującej się jako dobra do picia, na garbnik, zawierający się w ziarnkach kawowych: pod działaniem tych soli część garbnika się traci, przechodząc w związek nierozpuszczalny, podczas gdy kawa, przyrządzona na wodzie dystylowanej zachowuje cały swój aromat i siłę koniczną. Przy łatwości dostania wody przedystylowanej w każdej aptece, łatwo jest w tym kierunku zrobić przekonywającą próbę. W piwowarstwie daje się spostrzegać to samo. Wody obciążone dwuwęglanem wapna, neutralizują większą część garbnika, zawartego w chmielu i piwo tym sposobem zuboża się w zasadę, stanowiącą najgłówniej o jego dobroci. Skoro już mowa o kawie, to zwrócimy uwagę pań gospodyń, aby nie trzymały nigdy kawy czy to w ziarnkach zielonych, czy to już upalonej, w sąsiedztwie z innemi zapasami, mającemi silniejszy zapach, jako to: arakiem, wódkami, spirytusami, pieprzem i t. p. Kawa przejmuje się bardzo chciwie wonią tych ostatnich. Zdarzył się niedawno wypadek, że na angielskim statku wiszącym transport kawy z Indyj, przyjęto gdzieś po drodze kilkadziesiąt worków z pieprzem. Po przybyciu statku do Londynu kawa okazała się tak pieprzną, że o rozprzedaży jej nie mogło być mowy. Kawę należałoby zawsze trzymać oddzielnie, gdyż nie jest ona całkiem pewną nawet w szczelnie przykrywanych pudełkach.

Kolorowe płyny aptekarskie.

Wszystkim są znane owe szklanne bomby, napełnione różnokolorowymi płynami, rzucające wieczorem jaskrawe światła z okien wystawy na ulicę i zwracające na siebie uwagę przechodnia swoją przeźroczystością i barwnością. Są to poprostu wodne roztwory (woda dystylowana) różnych soli. Bomby żółto czerwone zawierają w roztworze dwuchromian potażu, żółte chromian potażu, niebieskie roztwór siarczanu miedzi z domieszką amonjaku (kolor nieba). Amerykanie dają w tym rodzaju jeszcze lepsze widowisko. Zamiast napełniać owe bomby roztworem jednej soli, leją oni kolejno kilka płynów odrębnej barwy i odrębnej stosunkowo wagi. Nalewają oni naprzykład na dno glicerynę, zabarwiając ją kwasem chromowym; na glicerynę leją wodę, zabarwioną na dowolny kolor; na wodę ostatecznie, nalewają do pełności terpentynę, zabarwiając ją uprzednio jakąkolwiek farbą, stanowiącą rażący kontrast z zabarwieniami płynów spodnich. Wywołuje to efekt nader uderzający.

Cement do sklejania przedmiotów gipsowych.

Sklejanie popękanego gipsu daje się uskutecznić sposobem następującym: należy wziąć kawałeczek cellulloidy (różnokolorowa masa palna, używana w ostatnich czasach do wyrobów galanteryjnych) i rozpuścić go w eterze. Po chwili zlać ostrożnie płyn z wierzchu, a część ciastowatą, która zostaje na spodzie miseczki, użyć jako cementu do zlepiania kawałków nadtłuczonych. Cement ten schnie bardzo szybko i nie rozpuszcza się w wodzie. Zlepianie dokonywa się sposobem zwyczajnym, to jest smaruje się zlekka masą powierzchnie popękane, zestawia się je starannie i zaciska.

Kryptogram

(ułożył pan Aleksander Godel sł. pr. w Przemyślu.)

TOM 5 a	TOM 14	TOM 3.	TOM 25. a.	TOM 11.	TOM 12.	TOM 15.	TOM 16.	TOM 5 b.	TOM 4.	TOM 25. b.	TOM 1.

Co to za dzieło?

Łamigłówka ze zgłosek.

a, dys, e, el, her, ki, ku, les, ma, ma, ni, nu, o, ri, rud, se, za

Ułożyć 5 wyrazów, których znaczenia są następujące: 1) bohater 2) poemat grecki 3) minister francuzki 4) imię męskie 5) miejscowość w Galicji.

Litery początkowe czytane z góry na dół, dają nam nazwisko sławnego klassyka, a końcowe z dołu do góry jedno z jego dzieł.

☛ Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **Wilkońskiego „Ramoty i Ramotki“**

Rozwiązanie łamigłówki z liter z Nr. 16.

Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

Rozwiązanie łamigłówki z Nr. 16.

Polowanie (z pana Tadeusza)

Rozwiązanie zagadki z Nr. 16.

1. **Szyraz**	5. **Ej!**
2. **Odda**	6. **Setis**
3. **Bytom**	7. **Karasek.**
4. **Indygo**	8. **Irrawadi**

Sobieski, Zamojski.

Rozwiązania wszystkich łamigłówek nikt nienadesłał. Łamigłówki z liter przysłał pan Aleksander Godel. Zagadki i łamigłówki z liter pani Wanda Kopacz.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Wydawca: Józef Rogosz. Zarządca drukarni i odpowiedzialny redaktor: Walenty Hodak.